

# Rekolekcje Wielkopostne – Wierzyć dzisiaj

Drukowanie poniższego tekstu jest możliwe pod warunkiem zachowania w tekście drukowanym informacji znajdującej się w stopce każdej strony.

Wtorek – V tydzień WP

---

## Nauka 35 – sama sobie poradzę

Jak bardzo Bóg „ściga” człowieka swoją miłością, jak bardzo zależy mu na nim? A my? Czy my aby nie uciekamy przed Bogiem, czy nie chcemy poradzić sobie w życiu sami? A przecież On naprawdę jest naszym Ojcem. On naprawdę ma dla nas niewyczerpane skarby łask. Choć czasami trzeba dorosnąć do tego, aby to dojrzeć, aby przyjąć to, co Bóg ma nam do zaoferowania.

W grudniu 1992 roku uzdrowienie Maureen Digan zostało uznane przez Kościół za cud dokonany za wstawienictwem siostry Faustyny Kowalskiej. Maureen opowiada własnymi słowami historię cudu.

\*\*\*\*\*

Wielu z was będzie pytać:

„Dlaczego przydarzyło się to właśnie jej, a nie mnie czy komuś z moich ukochanych?”

Podobnie i ja pytałam:

„Dlaczego przydarzyło się to mnie, a nie mojemu małemu synowi? Jak jednak czytamy w Ewangelii według św. Jana, „Pan wybiera tego, kogo sam chce.” (J 5,5-9)

Do piętnastego roku życia cieszyłam się normalnym, zdrowym i szczęśliwym życiem. Potem zapadłam na poważną chorobę - obrzęk limfatyczny kończyn dolnych, zwaną inaczej słoniowacizną nóg. W ciągu następnego dziesięciu lat przeszłam ponad pięćdziesiąt operacji. Moje niezliczone pobyty w szpitalu różniły się długością, od krótkich, tygodniowych, do trwających cały rok.

Rodzina i odwiedzający mnie przyjaciele mówili:

„Módl się i ufaj Bogu.”

A ja myślałam:

„Chyba żartujecie. Wiara? Ufność? W Tego, który mnie powalił na ziemię? W żadnym wypadku! Dzięki, serdeczne dzięki! To nie w moim stylu. Sama sobie poradzę.”

Czasem trochę się modliłam, ale tylko ustami, nigdy sercem.

„Super Maureen” nie potrzebowała niczyjej pomocy, a już na pewno nie duchowej. Kiedy byłam sama, płakałam, ale w obecności przyjaciół i obsługi szpitalnej miałam na twarzy uśmiech, tak że nikt nie wiedział, co czułam naprawdę.

Zbudowałam wokół siebie mur, nie zdając sobie w ogóle sprawy z tego, że moja choroba mogła zbliżyć mnie do Pana. Byłam zbyt zajęta życiem w swym własnym świecie bólu...

W tamtym czasie „chodziłam” z Bobem. Był on żołnierzem piechoty morskiej i często jechał osiemnaście godzin samochodem, aby odwiedzić mnie w szpitalu i usiąść przy mnie na kilka chwil. Byłam wściekła na cały świat i tak wewnętrznie rozchwiana, że raz cieszyłam się z jego przyjazdu, innym razem zachowywałam się wobec niego okropnie. Uważałam, że jego uczucie do mnie jest jedynie współczuciem, a nie miłością.

Skoro Bóg mnie nie kocha, jak może mnie kochać ten przystojny żołnierz? W końcu zerwałam z nim, a winę za to rzuciłam na Boga. Wszystko to było Jego winą, nie winą „super Maureen”.

Wynajdywałam wszelkie możliwe powody, by nie chodzić na Mszę świętą i do spowiedzi. Nie potrzebowałam spowiedzi. Uważałam, że nie zrobiłam nic złego. To Bóg był zły, nie ja. Wykorzystywałam swoją chorobę, by robić to, co uważałam korzystne dla siebie. Och, jestem zbyt chora, by iść na Mszę świętą. Za bardzo mnie boli. Nic dziwnego, że byłam nieszczęśliwa!

W miarę pogarszania się mojego stanu zdrowia operacje stawały się coraz poważniejsze. Operacja przeprowadzona na kręgosłupie, która miała - jak spodziewali się lekarze - ocalić moją prawą nogę, sparaliżowała mnie na dwa lata. Potem i tak trzeba było amputować nogę, najpierw powyżej kolana, a sześć miesięcy później - do biodra. Amputacje przeżyłam bardzo ciężko, szczególnie dlatego, że nie potrafiłam ani nie chciałam zwrócić się do Boga o pociechę i siłę.

Z czasem szpital zaczął mi stwarzać poczucie bezpieczeństwa. Mogłam się tu ukryć. Nie musiałam spotykać się z prawdziwym światem i dawać ludziom poznać, co czuję. Toczyłam ze sobą wielką walkę. Czułam w sercu, że powinnam zwrócić się do Boga, nie chciałam jednak na to pozwolić. Nie - mówiłam do siebie - nie zrobię tego. Sama sobie poradzę. „Super Maureen” nie potrzebuje Bożej pomocy.

W końcu zostałam zwolniona ze szpitala, a później otrzymałam w nim pracę. Wówczas w moje życie ponownie wkroczył Bob, a ja zrozumiałam, że jego uczucie było prawdziwą miłością, a nie tylko współczuciem. W dzień moich urodzin Bob poprosił mnie o rękę, a ja podjęłam pierwszą od wielu lat słuszną decyzję: powiedziałam „tak”.

Nie był to jednak koniec problemów. Cztery miesiące po zawarciu małżeństwa poroniłam. Powiedziano nam, że nasze szanse na posiadanie dziecka są nikłe.

O.K. Boże, kolejna kara!

Bolesne leczenie? Oczywiście, zniosę to. Wszystko, co pomoże mi zapomnieć o psychicznym i fizycznym bólu.

Niech Bóg błogosławi Bobowi! Nie wiem, jak on to robił. Był taki wierny i nigdy się na nic nie uskarżał. Dzisiaj wiem, że źródłem takich jego postaw była jego silna wiara, jego zawierzenie Bogu...

Po dwóch latach znowu zaszłam w ciążę.

Pomyślałam: „Może Bóg okaże się dla mnie dobry.”

Dziewięć miesięcy później przyszedł na świat nasz kochany Bobby .... z porażeniem mózgowym !!!!

W dwudziestym pierwszym miesiącu życia Bobby przeszedł pierwszy poważny atak apopleksji. Stracił mowę i zdolność chodzenia, wiele razy musiał przebywać w szpitalu. W dzień swoich szóstych urodzin został ponownie przyjęty do szpitala. Ważył wówczas niecałe 8 kg. Wypisany stamtąd po pięciu i pół miesiącach, ważył cztery kilogramy i musiał być karmiony za pomocą sondy.

Byłam z Bobbym przez cały czas jego pobytu w szpitalu i ani razu nie poszłam do domu, aby ugotować posiłek dla mego ciężko pracującego męża. Ale, jak zawsze, nie usłyszałam z jego ust najmniejszej skargi.

Musiało mu być bardzo ciężko chodzić codziennie do pracy ze świadomością, że Bobby jest tak poważnie chory.

Nie widząc szans na poprawę stanu zdrowia Bobby'ego, lekarze sugerowali umieszczenie go w specjalnym zakładzie, my jednak chcieliśmy mieć go w domu. Tak więc wróciliśmy do domu...

Tymczasem moja choroba postępowała i tego roku sama znalazłam się siedem razy w szpitalu. Zaczęłam miewać ataki spowodowane przez stresy i depresje. Rozpoczęto kurację, stosując bardzo silne leki przeciwbólowe, antydepresyjne i zapobiegające atakom apopleksji.

Pewnego wieczoru Bob poszedł do znajomych obejrzeć pierwszy film, jaki został nakręcony na temat Bożego Miłosierdzia i siostry Faustyny. Wrócił do domu przekonany o prawdziwości orędzia o Miłosierdziu Bożym. Próbował dzielić się tym ze mną, ja jednak nie chciałam słuchać; nie interesowało mnie to.

Bob nie nalegał. Po prostu wycofał się i zaczął się modlić. Otrzymał wówczas od Boga to, co później nazwał „collect call” (rozmowa telefoniczna na koszt osoby, do której się dzwoni, po wyrażeniu przez nią zgody na zapłacenie): miał zabrać całą rodzinę do znajdującego się w Polsce grobu siostry Faustyny.

Nawiązał kontakt z ks. Serafinem Michalenko MIC, vice-postulatorem do spraw beatyfikacji siostry Faustyny, który niebawem uzyskał pozwolenie na towarzyszenie nam w podróży.

Nie chciałam jechać tak daleko, i to z księdzem, którego się bałam, i mężem, który, jak myślałam, popadł w fanatyzm religijny. W końcu zdałam sobie jednak sprawę z tego, że dla dobra naszego małżeństwa powinnam przestać narzekać i zgodzić się na wyjazd.

Lekarz wyraził zgodę na zwolnienie mnie ze szpitala, był bowiem przekonany, że wkrótce stracę drugą nogę, co bardzo utrudni mi jakiegokolwiek podróżowanie.

Przyjechaliśmy do Polski 23 marca 1981 roku, w dniu urodzin Bobby'ego. 28 marca odbyłam pierwszą od wczesnej młodości dobrą spowiedź. Poczułam się wówczas blisko Pana i siostry Faustyny, czułam jednak lęk przed znalezieniem się zbyt blisko nich.

Tamtego wieczoru, spędzonego przy grobie siostry Faustyny, odmawialiśmy wspólnie koronkę do Miłosierdzia Bożego i inne modlitwy, prosząc przez jej wstawiennictwo o uzdrowienie Bobby'ego i mnie.

Usłyszałam wtedy w swym sercu głos siostry Faustyny mówiącej:

„Proś o pomoc, a pomogę ci.”

Będąc wciąż w złym nastroju, odpowiedziałam w myślach:

„O.K., Faustyno, ściągnęłaś mnie tu z tak daleka, więc zrób coś!”

Wtedy nagle opuścił mnie ból. Nie wierzyłam w cuda, byłam więc przekonana, że czuję się tak na skutek załamania nerwowego. Nazajutrz zobaczyłam, że opuchlizna zesza. Musiałam wypchać swój but chustkami, by nie spadał mi z nogi i by ludzie nie zauważyli, że zesza z niej opuchlizna. Dopiero trzy lub cztery dni później byłam wreszcie w stanie przyjąć do wiadomości fakt, że rzeczywiście otrzymałam od Boga dar uzdrowienia.

Zaczęłam odczuwać nowe uczucie bliskości Boga i sama stałam się nowym człowiekiem. Nie byłam już ową „Super Maureen”, złożyłam swą ufność w Boga i Jego Miłosiernej Miłości.

Słoniowaczna nóg jest chorobą, której nie da się leczyć farmakologicznie i która nie ulega remisji. Odwiedziłam pięciu niezależnych specjalistów i każdy z nich stwierdził, że jestem w 100% wyleczona. Moi znajomi i członkowie rodziny zostali poproszeni na świadków przez komisję archidiecezji bostońskiej i wypytywano ich o wszystko, co wiedzieli o mojej chorobie i uzdrowieniu. Zebrane w Bostonie świadectwa i dokumenty zostały następnie wysłane do zbadania przez specjalny trybunał w Polsce, gdzie miało miejsce uzdrowienie.

W ubiegłym (1992) roku Rzym uznał uzdrowienie za cud. Uczynił to na podstawie prac trzech odrębnych zespołów sędziów przysięgłych powołanych przez Kongregację do Spraw Kanonizacyjnych: zespołu lekarzy, zespołu teologów i w końcu zespołu złożonego z kardynałów i biskupów. Dzięki temu Ojciec Święty mógł ogłosić potwierdzenie cudu przez Kościół jako dokonanego za wstawiennictwem siostry Faustyny.

Powołanie Bobby'ego było inne.

Jego udziałem stało się dramatyczne, ale niepełne uzdrowienie, które pozwoliło mu prowadzić niemal normalne życie przez cudowne trzy i pół roku. Odsunięto leki, chłopiec nauczył się

jeździć na rowerze i zdobył złoty i srebrny medal na Specjalnych Igrzyskach Olimpijskich. Potem jednak stan jego zdrowia zaczął się pogarszać i Bobby odszedł do Pana w maju 1991 roku.

Przy śmierci Bobby'ego byli z nami ks. Serafin i rektor Sanktuarium Bożego Miłosierdzia, ks. Joe Dicine, którzy znali go, kiedy był jeszcze małym chłopcem. Dzięki ich obecności Bobby nie bał się pójść na spotkanie z Panem.

W Dniu Matki Bobby objął mnie za szyję swymi chudymi ramionami i powiedział:

„Mamo, muszę ci coś powiedzieć. Bóg przyśle swego Syna, Jezusa, aby mnie zabrać wkrótce do nieba.

Nie bój się i nie bądź smutna.”

Potem zawołał swego tatę i powiedział mu to samo.

Bycie rodzicami upośledzonego dziecka pociąga za sobą wiele cierpień, ale jest to jednocześnie tak wielkie błogosławieństwo, tak wspaniały dar od Boga! Tak wiele nauczyliśmy się od Bobby'ego i nigdy nie będziemy w stanie zmierzyć tej miłości, jaką promieniował on na wszystkich, którzy go znali.

Kiedy jest się blisko Pana, życie jest zupełnie inne! Jesteśmy wdzięczni Bogu za moje uzdrowienie i za czas, jaki pozwolił nam spędzić z Bobbym. Wiemy że z tej bolesnej straty wypłynęło wiele dobra i nadal będzie wpływać.

Wciąż jednak nie jest nam łatwo. Każdego dnia muszę starać się trwać blisko Pana. Ks. Joe nie przestaje służyć Bobowi i mnie, pomagając nam w kroczeniu z Bogiem... Mam nadzieję, że to podzielenie się naszą drogą życiową będzie dla innych źródłem pocieszenia i nadziei, zwłaszcza może dla tych, którzy żyją w cierpieniu.

Błagam was, nie upadajcie tak nisko, jak upadłam ja, zanim nawróciłam się do Pana. On jest zawsze blisko nas. Żaden grzech, nawet grzech odwrócenia się od Niego całym życiem, nie jest dla Niego zbyt wielki, by nie mógł go przebaczyć.

A co do sakramentu spowiedzi świętej, to muszę powiedzieć, że ... to właśnie tu dokonuje się największy cud. Tu odnajdujemy pokój, miłość, radość, przebaczenie i najgłębsze, najważniejsze uzdrowienie.

Super Maureen

\*\*\*\*\*

Nie trzeba chyba dodawać, że nawrócenie Mureen dokonano się dzięki głębokiej wierze jej męża, który nie był na pewno mięczakiem i bigotem.

Poruszające są także słowa Mureen: **„Błagam was, nie upadajcie tak nisko, jak upadłam ja, zanim nawróciłam się do Pana. On jest zawsze blisko nas. Żaden grzech, nawet grzech odwrócenia się od Niego całym życiem, nie jest dla Niego zbyt wielki, by nie mógł go przebaczyć.”**